

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Gustaw Flaubert

HERODIADA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

I

Cytadela zwana Machaerus stała po wschodniej stronie Morza Martwego, na stożkowatej skale z bazaltu. Otaczały ją cztery głębokie doliny: dwie biegły ukosem ku flankom fortecy, jedna rozpościerała się u dościa do niej i jedna leżała na jej tyłach. U podnóża twierdzy stłoczyły się domy, opasane murem, który wznosił się albo obniżał, stosownie do sfalowań terenu, miasto zaś łączyła z nią droga, wykuta zakosami w skale. Wśród murów cytadeli, na sto dwadzieścia łokci wysokich, zębatych, pełnych załomów i strzelnic, wznosiły się baszty niby kwiaty w kamiennym wieńcu, zawieszonym nad przepaścią.

W środku był pałac, zdobny szeregami kolumnad, nakryty tarasem opasanym balustradą z drzewa sykomory, zaopatrzoną w maszty, na których rozciągano velarium. Pewnego razu tetrarcha Herod –Antypas przyszedł tutaj przed świtem, podparł się łokciami i patrzył.

Grzbiety gór leżących u jego stóp zaczęły już się wyłaniać, ale masywy skalne i dna przepaści tonęły jeszcze w mroku. W powietrzu unosiła się mgła, która rozstąpiła się nagle i ukazała kontury Morza Martwego. Jutrenka, wstająca za twierdzą Machaerus, rozlała czerwień na niebie, rozświetliła po chwili piaski nadbrzeżne, wzgórza, pustynię i całe pasmo gór Judei, nachylających w oddali swe szare i szorstkie płaszczyzny. Pośrodku, niby czarna zaporą, królował Engaddi; Hebron wyglądał we wgłębieniu jak kopuła; na zboczach Eskuolu rosły drzewa granatu, Sorek był bogaty w winnice, a na Karmelu ciągnęły się pola sezamu; olbrzymi sześcian wieży, zwanej Antonią, królował nad Jerozolimą. Tetrarcha odwrócił wzrok od niej, wołał bowiem popatrzeć w prawo, na palmy Jerycha; i pomyślał o innych miastach swojej Galilei: o Kafarnaum, Endor, Nazareth i Tyberiadzie, do której pewno już nigdy nie wróci. Tymczasem Jordan płynął po jałowej równinie. Równinie białej, oślepiającej jak śnieżne rozłogi. Jezioro wyglądało teraz jak tafla z lazurytu; na południu, koło Jemen, w miejscu, gdzie wody wrzynały się ostro w brzeg, Antypas dostrzegł to, czego zobaczyć nie pragnął. Rozproszone, brunatne namioty; ludzie zbrojni w dzidy kręcili się koło koni, a wygasające ognie błyszczały jak opadłe na ziemię iskry.

Były to wojska króla Arabów, dotkniętego do głębi postępowaniem tetrarchy, który odrzucał rękę jego córki, pojął Herodiadę, żonę rodzonego brata, zamieszkałego w Italii i nie ubiegającego się o władzę.

Antypasa żał niepokój, liczył bowiem na pomoc Rzymian, a Witelius, gubernator Syrii, nie śpieszył jakoś z posiłkami.

Czyżby naprawdę udało się Agryppie zniweczyć zaufanie, jakie Cezar żywił do niego? Trzeci z braci, Filip, władca Batanei, zbroił się potajemnie. Żydzi mieli dość pogańskich obyczajów Heroda, innym zaś sprzykrzyła się jego władza; toteż wahał się, jaką wybrać drogę: ugodzić się z Arabami czy też z Partami zawrzeć przymierze? A że przypadł właśnie dzień jego urodzin, skorzystał ze sposobności i wydał wspaniałą ucztę, na którą sprosił wodzów swoich wojsk, zarządców swoich dóbr i wszystkich notablów Galilei.

Byстрыm spojrzeniem przeszukał drogi, lecz drogi były puste. Orły krążyły nad nim. Żołnierze, wsparłszy głowy o mur, spalili na wałach. W zamku panowała martwa cisza.

Nagle tetrarcha zbladł, gdyż usłyszał głos daleki i jakby wydobywający się z wnętrza ziemi. Pochylił się i nasłuchiwał – głos zanikł. Ale po chwili odezwał się znowu. Wtedy Herod klasnął w ręce i zawołał:

– Mannaiei! Mannaiei!

Zjawił się mężczyzna, obnażony do połowy, jak masażyści w łaźni. Był bardzo wysoki, stary, wychudły i nosił u pasa nóż w pochwie z brązu. Włosy, spiętrzone sztucznie grzebieniem uwydatniały nadmierną wysokość jego czoła. Senność odbarwiała mu oczy, ale zęby błyszczały, a stopy stawiał lekko na posadzce, gdyż ciało miał gibkie jak małpa, oblicze zaś jak u mumii nieprzeniknione.

– Gdzie on jest? – zapytał tetrarcha. Mannaiei odpowiedział wskazując coś palcem za nimi:

– Ciągłe tam!

– Zdawało mi się, że go słyszałem!

I Antypas, odetchnąwszy głęboko, spytał o losy Iaoanananna, tego samego, którego Latyni zowią Janem Chrzcicielem. Czy widział ktokolwiek jeszcze tych dwóch ludzi, których łaskawość królewska dopuściła w zeszłym miesiącu do ciemnicy więźnia, i czy ktokolwiek starał się wybadać, co się z nimi stało?

Mannaiei odparł:

– Wymienili z Janem jakieś tajemnicze słowa, zupełnie jak złodzieje na rozstajnych drogach, po czym udali się do Górnej Galilei. Utrzymywali, że niosą wielką nowinę.

Antypas, wbił wzrok w ziemię i nagle rzekł przerażony:

– Pilnuj go, dobrze pilnuj! I nikogo nie dopuszczaj do niego! Drzwi trzymaj zamknięte! Zasłoń dół, w którym siedzi. Nikt nie powinien się domyślać, że jest żywy!

Mannaiei wykonał te rozkazy, zanim je otrzymał, był bowiem Samarytaninem i jak wszyscy Samarytanie nie znosił Żydów i brzydził się nimi. Świątynia Samarytan w Garizim, którą Mojżesz wskazał jako żrenicę Izraela, nie istniała od czasów króla Hirkana; toteż widok Świątyni Jerozolimskiej przypominał Samarytanom o hańbie, obeldze, odwiecznej krzywdzie i doprowadzał ich do wściekłości. Mannaiei zakradł się tam kiedyś, aby zbezczęścić ołtarz kośćmi umarłych. Towarzyszy jego, nie tak szybkich w ucieczce, ścięto.

Dostrzegł świątynię wynurzającą się z przełęczy pomiędzy dwoma wzgórzami. W promieniach słońca jarzył oślepiająco jej dach, kryty złotą blachą, i oślepiał blask ścian z białego marmuru.

Wyglądała jak góra światła przygniatająca otoczenie bogactwem i pychą.

Wtedy Mannaiei wyciągnął ramię w kierunku Syjonu. Wyprostowany, z głową lekko cofniętą i zaciśniętymi pięściami, rzucił Syjonowi przekleństwo, wierząc, iż jego słowa będą miały moc skuteczną.

Antypas słuchał i nie gorszył się wcale.

Samarytanin dodał jeszcze:

– Chwilami się porusza, chciałby uciec, spodziewa się, że wyjdzie na wolność. Czasami leży spokojnie jak chore zwierzę; albo też widzę, jak chodzi w ciemnościach i powtarza: „To nie ma znaczenia. Muszę zmaleć, ażeby on urósł”.

Antypas i Mannaiei popatrzyli na siebie. Ale Heroda znużyły te rozważania. Niepokoili go góry, podobne do spiętrzonych i skamieniałych, olbrzymich fal, niepokoili go czarne otchłanie, otwierające się na krawędziach urwisk, niepokoił go bezmiar pogodnego nieba i rażące światło słońca, niepokoili go głębina przepaści; rozpacz zawładnęła nim, gdy spojrzał na pustynię, która z racji zwietrzałych i zamienionych w piachy skał przypominała mu skupisko amfiteatrów i pałaców, obróconych w gruzy. Gorący wiatr przynosił razem z zapachem siarki jakby wyziewy przeklętych miast, spowitych grubo w ciężkie wody. Te znamiona wieczystego gniewu przejmowały grozą myśl tetrarchy; stał więc nieruchomo, wsparty łokciami o balustradę, objąwszy skronie dłońmi, z oczami utkwionymi w jeden punkt. Poczł czyjeś dotknięcie. Obejrzał się. Była to Herodiada.